

# **Jezus Schrödingera**



**Celebryta występuje z Kościoła. W piątek, 18 lutego, znany krytyk muzyczny pojawił się w jednym z warszawskich kościołów, aby w świetle kamer i fleszy ogłosić, że zamierza dokonać aktu apostazji.**

Jak czytamy na blogu byłego posła z Lublina, który patronuje przedsięwzięciu pt. „Akcja Apostazja”, „Według popularnego krytyka muzycznego głównym powodem rozpoczęcia procedury Apostazji jest jego długoletni publicznie wyrażany ateizm oraz nadmierna ingerencja Kościoła Katolickiego w życie polityczne po 10 kwietnia 2010r.”. Dla przypomnienia, hasło byłego posła z Lublina, którym promuje swoją inicjatywę polityczną, brzmi „Gospodarka jest najważniejsza”. Można zadać sobie zatem pytanie, jakie korzyści z „Akcji Apostazja” odniesie gospodarka i o ile wzrośnie od tego PKB.

Pomijając jednak złośliwości, zastanawiające jest, jaką magiczną wręcz moc przypisują palikolici (akolici Palikota) temu formalnemu bądź co bądź gestowi, jakim jest procedura wystąpienia ze wspólnoty wiernych Kościoła Katolickiego. Tak samo, jak zdumiewająca jest atencja, jaką co bardziej wojujący ateści darzą Kościół katolicki, który ostatecznie powinien być przecież dla nich instytucją obojętną. Słuchając wypowiedzi Palikota, czy czytając oświadczenie p. Leszczyńskiego można odnieść wręcz wrażenie, jakby symboliczne zerwanie z Kościołem było aktem odzyskania wolności, zerwania krępujących więzów opresyjnej instytucji, uwolnieniem od tych wszystkich irytujących ograniczeń. Wystąpiłem z Kościoła, więc wolno mi wszystko. Podpisałem papier, więc zabiłem Boga. Bóg nie żyje.

Dla jasności - przynależność do dowolnego kościoła lub wystąpienie z jego szeregów jest indywidualnym prawem każdego człowieka i nie jest moją intencją oceniać motywy lub skutki postępowania w konkretnym, opisywanym powyżej przypadku. Przywołuję go tylko dlatego, aby zwrócić uwagę na paradoks, który pojawia się często, gdy niewierzący wypowiadają się na temat wierzących, w szczególności ateści wobec

katolików. Paradoks ubrany w ładne opakowanie z napisem „tolerancja”, a który można streścić następująco: „Szanuję Twoje prawo do wiary w to, co chcesz, więc ty uszanuj również moje prawo do niewiary w to, w co wierzysz”.

Wolność, szacunek, tolerancja. Tyle tylko, że całkowicie nielogiczna, całkowicie pozbawiona elementarnego zdrowego rozsądku, a konsekwencji – fałszywa. I dlatego, jeżeli skierowana do chrześcijanina, musi się spotkać z oporem. Tak jak każdy fałsz, każda bzdura z którymi spotykamy się na co dzień. A w tym przypadku bzdura szczególnie niebezpieczna, bo przebrana w racjonalne, wolnościowe i tolerancyjne szatki.

Przekonanie, że wiara i niewiara są wyłącznie kwestią indywidualnego wyboru, że w imię tolerancji powinniśmy się zgodzić na uznanie, że chrześcijanie i ateści mogą mieć jednocześnie rację, jest przekonaniem fałszywym. Łatwiej to sobie uświadomić, gdy przypomnimy sobie słynny eksperyment z kotem Schrödingera, zgodnie z którym – pomijając techniczne szczegóły eksperymentu – możemy wyobrazić sobie paradoks, w którym zamknięty w pudełku kot jest jednocześnie żywy i martwy. I nie przekonamy się o tym, dopóki nie otworzymy pudełka. Sensem tego paradoksu jest uświadomienie zjawiska supozycji, w którym obiekt kwantowy znajduje się równocześnie w każdym z możliwych stanów. Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy ktoś próbuje powyższy paradoks zastosować do obiektów duchowych – w tym do samych podstaw wiary.

„Tolerancyjni” ateści, można odnieść czasem wrażenie, zachowują się jak obserwatorzy, którzy na wiarę patrzą jak na zamkniętego w pudełku kota, a to, co dzieje się w pudełku (w szczególności to, czy kot jest żywy czy martwy) w ogóle ich nie dotyczyło. To przekonanie pozwala głosić na przykład, że prawdy głoszone przez wyznawców danej religii dotyczą tylko i wyłącznie samych wyznawców, w żaden sposób nie dotykając, a już z całą pewnością nie obowiązując „zewnętrznych obserwatorów”. Jeżeli coś jest, dla przykładu, grzechem w pudełku zwanym katolicyzmem, to wystarczy opuścić pudełko – wyjść z Kościoła – aby dany grzech, a nawet samo pojęcie grzechu, w magiczny sposób przestało obowiązywać. Ostatecznie – jak zdaje się sądzą niektórzy ateści – piekło jest tylko dla katolików.

Bardzo to postępowe i tolerancyjne, gdy każda religia traktowana jest jak oddzielne pudełko z własnym zestawem prawd, a każdy – patrząc oczywiście z zewnątrz – może wybrać sobie własne pudełko lub nie wybierać żadnego. Jeżeli kwestie wyboru religii sprowadzimy do wolnego rynku, do supermarketu wiary, wówczas z oczywistą niechęcią będziemy spoglądać na chrześcijańskie zapędy ewangelizacyjne – jak na nachalnych akwizytorów, którzy natrętnie próbują wcisnąć nam niechciany towar. Rzecz jednak w tym, że – przynajmniej z chrześcijańskiego punktu widzenia – ten „wybór pudełka” ma konsekwencje, i to poważne. W zależności od tego, co wybierzemy, może skończyć się wiecznym życiem – lub wieczną śmiercią. Dlatego warto wybierać rozważnie.

Fałszywa doktryna tolerancji jest dla chrześcijaństwa niebezpieczna właśnie dlatego, że godzi w samo jego serce, jakim jest prawo i obowiązek głoszenia Dobrej Nowiny. Według ateistów (czy może anty-

teistów), ewangelizacja jest naruszaniem ich osobistej wolności, narzucaniem wiary, indoktrynacją. Ale przecież ewangelizacja – wbrew temu, co twierdzą ateści – nie jest indoktrynacją, lecz ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem. Jeżeli idąc chodnikiem, zobaczę kogoś, kto pcha się na przejście dla pieszych przy czerwonym świetle, moim obowiązkiem jest złapać go za rękę i krzyknąć – Stój! Czerwone światło – a do niego można przyrównać religijne zakazy i nakazy moralne – nie jest tylko dla wybranych. Jest dla wszystkich. A konsekwencje złamania przykazań dotyczą każdego. Również tych, którzy w nie nie wierzą.

Czy to oznacza, że – kolejny fałszywy, często podnoszony argument – jedyną alternatywą dla powszechnej tolerancji w duchu „Kochajmy się!” są religijne krucjaty, jest nawracanie na siłę, co w konsekwencji zawsze musi prowadzić do wojen i konfliktów? Żadną miarą. Ostatecznie, wszyscy jesteśmy wolnymi ludźmi. Ale przynajmniej, nie pozbawiamy się sami własnej tożsamości w imię fałszywych doktryn. Szanujmy prawo innych do błędnych poglądów, ale miejmy odwagę nazywać je błędnymi. Pozwólmy innym ponosić konsekwencje własnych czynów, ale nie bójmy się ostrzegać przed tymi konsekwencjami. Pamiętajmy, że prawda, którą głosimy, nie pochodzi od nas.

Łatwo jest wyjść z Kościoła i powiedzieć – nie ma Boga, mnie to nie dotyczy. Trudność pojawia się, gdy uświadomimy sobie, z Czyjego Kościoła wychodzimy, kto stoi u podstaw jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Kościół nie jest instytucją stworzoną przez ludzi dla ludzi, ale przez Boga dla Boga – przez Syna ku chwale Ojca. Jezus Chrystus – nawet historycy nie mają co do tego żadnych wątpliwości – był żywym, istniejącym człowiekiem, a jego przyjście na świat i działalność tu, na Ziemi była i pozostaje największym

wydarzeniem w historii ludzkości. Pozostanie jego obojętnym na ten fakt jest możliwe, ale uznanie, że nie miał miejsca lub że dotyczy tylko katolików można przyrównać do paradoksu Schrödingera. Uznać, że Chrystus jest i go nie ma jednocześnie, albo że to zależy wyłącznie od naszego osobistego wyboru, nie jest tolerancją – jest kłamstwem. Chrystusa nie można zamknąć w pudełku i uznać, że go nie ma tylko dlatego, że my jesteśmy „na zewnątrz”. A już na pewno nie możemy pozwolić na to ci, którzy wierzymy, że jest. Który się począł z Ducha Świętego. Narodził się z Maryi Panny. Umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, umarł i pogrzebion. Zstąpił do piekieł. Trzeciego dnia zmartwychwstał. Wstąpił na niebiosy. Siedzi po prawicy Boga Ojca wszechmogącego. Stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych. I oczekujemy Jego przyjścia w chwale.

*Przemysław Pięta*